

**Colette Szczepaniak**

Uniwersytet Szczeciński

## Ukorporacyjnienie uniwersytetu w badaniu autoetnograficznym

### Wprowadzenie

Czym jest dziś dla mnie studiowanie? Czym jest dla mnie uniwersytet? Jakich ludzi skupia uczelnia w swoich murach? Czy jest w nich miejsce na samorealizację, samospełnienie i satysfakcję? Moim obowiązkiem, jako doktorantki, jest ciągle znajdowanie coraz to nowszych odpowiedzi na powyższe pytania. Na odnajdywanie sensu w procesie, którego jestem częścią. Uważam, że naszą, doktorantów, powinnością jest ulepszanie tego procesu i w otwarty sposób mówienie o jego aktualnych problemach, niedociągnięciach czy defektach.

Jestem przedstawicielką pokolenia, które nie potrafi się nudzić. Dziś dziwi mnie natłok zajęć dzisiejszych dzieci i młodzieży, ale przecież dokładnie w takim samym pędzie spędziłam swoją nastoletniość. To nie był wymysł czy ambicja moich rodziców, ale mój osobisty zapal do wszystkiego, co nowe, i przeświadczenie, że ciężką pracą można osiągnąć wszystko, czego się chce. Ponadto pęd dawał mi poczucie satysfakcji i szczęścia.

Przez kolejne grudnie, mają  
Człowiek goni jak szalony  
A za nami pozostaje  
Sto okazji przegapionych  
Ktoś wytyka nam co chwilę  
W mróz czy w upał, w zimie, w lecie  
Szans nie dostrzeżonych tyle  
I ktoś rację ma, lecz przecież<sup>1</sup>...

Jako nastolatka chciałam robić wszystko. Śpiewałam w chórze i chodziłam na lekcje gry na gitarze i pianinie (jeden instrument nie wystarczał). Uczęszczałam na lekcje dwóch ję-

---

<sup>1</sup> W niniejszym artykule przytaczam słowa piosenki *Jeszcze w zielone gramy* autorstwa Wojciecha Młynarskiego, do której muzykę napisał Jerzy Matuszkiewicz. Wykonywali ją zarówno autor tekstu, jak i zespół Raz Dwa Trzy, Magda Umer czy w najnowszej wersji Daria Zawiałow.

zyków obcych, czego efektem jest ich biegła znajomość. Zawsze też uprawiałam jakiś sport. Odkąd miałam 16 lat, w każde wolne od szkoły szłam do pracy. Pracowałam w przerwach świątecznych chociaż przez kilka godzin dziennie, rozdając ulotki, opiekując się dziećmi czy sprząając apartamenty. W pewne wakacje, kiedy nie mogłam znaleźć pracy na cały etat, znalazłam sobie trzy różne prace. Nie na miesiąc, ale na całe wakacje. Wcale nie musiałam, rodzice zawsze wszystko nam zapewniali. Chciałam zdobyć nowe doświadczenia, sprawdzić, co sprawia mi w życiu radość, nauczyć się czegoś nowego, poznać nowe osoby. Do tego brałam aktywny udział w życiu szkoły, miałam świadectwa z czerwonym paskiem, brałam udział w olimpiadzie językowej. W domu zawsze miałam obowiązki, z których się wywiązywałam. Na pewno nie uciekałam w ten sposób z domu, bo miałam i nadal mam kochający dom, pełen akceptacji, zrozumienia i miłości. Ja po prostu ciągle chciałam więcej i więcej, ciągle czegoś nowego, byłam zachłanna na nowe doświadczenia i umiejętności, nowe miejsca, nowych ludzi. I tak pędziłam, aż do matury.

### Dlaczego autoetnografia?

Autoetnografia polega na opisie „określonej kultury poprzez bezpośrednio wykorzystywanie w jej poznawaniu i pogłębionym rozumieniu przez badacza własnego doświadczenia źródłowego, które odnosi się do jego uczestnictwa w tejże kulturze (...)” (Kubinowski, 2013, s. 209). Mając za sobą kilka lat studiowania na kierunkach o różnych profilach i trzech różnych uniwersytetach, uważam, że moje doświadczenie może już być polem do badań na temat funkcjonowania uniwersytetu. Mam również doświadczenie w pracy w korporacji. Dostrzegam wiele podobieństw w funkcjonowaniu „od środka” tych dwóch instytucji. Uważam też, że postrzeganie uniwersytetu przez pryzmat korporacji wkrada się do naszej kultury, do społecznej percepcji uczelni.

Moim zdaniem badanie autoetnograficzne jest, zaryzykuję stwierdzenie, jedyną metodą badawczą pozwalającą zbadać osobisty rozwój (bądź brak rozwoju) badacza. Jak napisał Dariusz Kubinowski (2013, s. 209), w autoetnografii badacz bada samego siebie i interpretuje własne życie. Dzięki tej metodzie mogę więc sprawdzić, jak się rozwijam nie tylko w swojej roli „badacza”, lecz także jako człowiek.

### To co po maturze?

Kiedy ktoś pytał mnie, co chcę robić w życiu, odpowiadałam, że chcę pracować z dziećmi. Zawsze lubiłam dzieci i miałam doświadczenie w opiece nad nimi. Chciałam też iść na studia językowe, najlepiej lingwistykę stosowaną, gdzie mogłabym uczyć się języków angielskiego i francuskiego, albo na filologię romańską. Byłam dosyć wytrwała w tym planie (relatywnie do poprzednich planów), ale w lutym przed maturą, za namową wielu

„życzliwych”, zmieniłam deklarację maturalną i postanowiłam pójść na studia, „po których będę miała dobrą pracę”. Tak przynajmniej mówiła większość „osób dookoła”, a z pewnością wszystkie znane mi nauczycielki. Jednocześnie mówiły też, że po pedagogice nie ma przyszłości, bo płace są niskie, praca ciężka, dzieci coraz trudniejsze i do tego za dużo dokumentów do wypełniania. Dawało mi to do myślenia, bo nie świadczyło o ich osobistej satysfakcji z pracy, a co za tym idzie, także z życia, bo przecież większość życia spędzamy w pracy. Te osoby wspominam dzisiaj jako szepty wokół mojej głowy. Jaka była ich definicja studiowania i uniwersytetu? Dziś myślę, że sprzeczna z moją własną, która teraz znów walczy o wypłynięcie na powierzchnię. Ludzie ci postrzegali uniwersytet przez pryzmat jego urynkwienia, jako miejsce, które powinno coś dawać, przynosić jakąś korzyść, kształcić kadry. Uczelnię rozumieli jako fabrykę produkującą gotowe atestowane dyplomami wytwory, a nie jako miejsce rozwoju osoby i świadomego wdrażania zmiany społecznej, i kształtowania społeczeństwa obywatelskiego (Czerepaniak-Walczak, 2013a, s. 38). W ogóle nie brali pod uwagę tego, czego ja naprawdę chcę, czym ja się interesuję i co sprawi, że się rozwinę. Najważniejsze dla nich było to, abym uczyła się tego, co w danym momencie ma zastosowanie praktyczne i umożliwi mi uzyskanie wiedzy i umiejętności potrzebnych w jakimś konkretnym celu (Czerepaniak-Walczak, 2013a, s. 39). A celem w pojmowaniu społecznym była i chyba wciąż jest dobrze płatna praca. Nie taka praca, która daje satysfakcję, ale taka, która zapewnia wszystkie niezbędne do życia materialne dobra. Kiedy ktoś ma mieszkanie, pracę, samochód, to przecież mówi się, że dobrze radzi sobie w życiu. Nie mam dziś pretensji do osób, które pytały: „a co ty będziesz po tej pedagogice robić?”, bo chciały dla mnie jak najlepiej. Chyba każdemu nauczycielowi zależy, żeby zdolny uczeń (bo niezdolny skreślany jest na samym początku drogi edukacyjnej) „odniósł sukces”.

Więc nie martwmy się, bo w końcu  
Nie nam jednym się nie klei  
Ważne, by choć raz w miesiącu  
Mieć dyktando u nadziei  
Żeby w serca kajeciku  
Po literkach zanotować  
I powtarzać sobie cicho  
Takie prościuteńkie słowa...

## Pierwszy wybór

W konsekwencji wszystkich szeptów, które słyszałam wokół mnie, wybrałam studia ekonomiczne na Uniwersytecie Gdańskim w całości prowadzone w języku obcym. To było wyzwanie na moją miarę. Tak wtedy myślałam. Nie miałam pojęcia o ekonomii, a do tego wszystkie zajęcia, zaliczenia i obrona miały być w języku angielskim. To brzmiało trudno,

ale ja lubiłam, jak było trudno. Do tego nowe miasto i to szczególne, bo Trójmiasto, w którym nigdy wcześniej nie byłam nawet na wycieczce.

Tym, co doskwierało mi na studiach najbardziej, był nadmiar czasu. Wszystkie swoje dotychczasowe zainteresowania zostawiłam 350 kilometrów za sobą, a budżet, który miałam na miesiąc, nie wystarczał na opłacenie dodatkowych zajęć. Już dzisiaj wiem, że czas, który wtedy miałam, powinnam była przeznaczyć na studiowanie w rozumieniu gruntownego poznawania, badania za pomocą analizy naukowej (Tokarski, 1989, s. 707). Jak jednak chcieć coś gruntownie poznawać, co kompletnie nie leżało w zakresie moich zainteresowań? Nie potrafiłam się do tego zmobilizować, ekonomia mnie nie pochłonęła, czułam bezsens studiowania. Jak powiedziała Lucyna Dziaczkowska (2009, s. 186) podczas wykładu wygłoszonego z okazji rozpoczęcia roku akademickiego 2009/2010, wymagane jest nieustanne podsycanie pasji naukowej poprzez „żywe zainteresowanie przedmiotem studiowania, *odwaga bycia trochę innym* polegająca na gotowości wyrzekania się niektórych przyjemności oferowanych przez otoczenie, ale bez postawy cierpiętnictwa”. Nie potrafiłam wykrzesać z siebie żadnego z tych dwóch czynników, dlatego też nie miałam w sobie żadnej pasji naukowej. Odnosiłam wrażenie, że cały mój dotychczasowy zapał do nowych doświadczeń wygasł wraz z przekroczeniem progu Wydziału Ekonomicznego. Miałam poczucie marnowania czasu, braku motywacji, zniechęcenia. Bez wątplenia studiowanie traktowałam wtedy jedynie jako uczenie się na wyższej uczelni (Słownik PWN, 2018b). Przed wszystkim jednak czułam, że studia podcinają mi skrzydła, że nie mogę się rozwijać, że jestem tylko małą mrówką w całym mrowisku studentów na roku i wydziale. Straciłam wyjątkowość osoby szczególnie uzdolnionej muzycznie i językowo, bo przestało mieć to znaczenie. Uczyłam się od sesji do sesji. Uczyłam się, ale na pewno nie studiowałam. Popadłam w letarg i nie było już śladu po mojej chciwości na to, co nowe. To nowe, z którym się zetknęłam, przestało być dla mnie ciekawe, a zaczęło być męczące.

Na pierwszym roku ciężko pracowałam, żeby zaliczać wszystko jak najlepiej i oczywiście w pierwszych terminach. Później stwierdziłam, że to się zwyczajnie nie opłaca, a dowodem na to była sytuacja z drugiego roku, kiedy byłam już wprawnym, cwany studentem. Pamiętam, jak poszłam na pierwszy wykład z prawa cywilnego i biznesowego w handlu zagranicznym, który okazał się bardzo nudny. Wykładowca nie posługiwał się biegle angielskim i robił długie przerwy między jednym a drugim słowem. Stwierdziłam więc, że nie będę chodzić na te zajęcia. W trakcie semestru okazało się, że mało kto chodził na ten wykład i doktor się odgrażał, że egzamin zaliczą tylko te osoby, które były obecne na wykładach. Nie zrobiło to na mnie wrażenia i dalej nie chodziłam. Przed egzaminem wzięłam od kogoś notatki i przeczytałam je trochę, przyłożyłam się przez dwa dni. Kiedy przyszłam na egzamin, patrzyłam na wykładowcę, którego widziałam wcześniej raz w życiu, i byłam bardzo zdziwiona, że jego wygląd różni się od postaci, którą miałam w swojej pamięci. Egzamin zdało osiem osób, w tym ja. Ten przykład obrazuje, że to nie jest tak, że podczas studiów niczego się nie nauczyłam. Owszem, nauczyłam się tego, że kto lepiej

potrafi w życiu kombinować, ten zyskuje. Moja wiara w ciężką pracę, która jest środkiem do osiągnięcia sukcesu, przestała istnieć. Rozleniwałam się jeszcze bardziej.

Chcąc zaradzić letargowi, w który popadłam, na drugim roku rozpoczęłam drugi kierunek studiów – filologię romańską. Z pogodzeniem dwóch kierunków nie miałam żadnego problemu, w końcu liczba zajęć przed studiami sprawiła, że byłam mistrzem w dobrej organizacji pracy. Tam jednak również nie znalazłam tego, czego szukałam w studiach. Chciałam pogłębić swoją znajomość języka, która była już i tak bardzo dobra, a utworzono kierunek, na którym studiowały osoby zaawansowane i takie, które w ogóle nie znały języka. W dodatku wszystkie zajęcia były prowadzone po polsku. I znowu się cofałam, nie miałam motywacji, moja wiara w studia całkiem wygasła. Tak naprawdę nie rozumiałam, o co mi chodzi, może oczekuję od studiów nie tego, co powinnam? Odczuwając kompletny bezsens studiowania kolejnego kierunku, zrezygnowałam z niego na rzecz samodzielnego studiowania języka francuskiego. Ale do takiego studiowania uczelnia wyższa w ogóle nie była mi potrzebna.

Czując wciąż jakiś brak i wiedząc, że ekonomia nie jest bliska mojemu sercu, rozpoczęłam wolontariat w Domu Dziecka „Na Wzgórzu” w Sopocie. Ta placówka rzeczywiście znajdowała się na wzgórzu, na którego szczyt prowadziło chyba dwieście schodów, ale szłam po nich jak na skrzydłach. Nie tylko pomagałam wychowankom w odrabianiu lekcji, lecz także prowadziłam zajęcia, które nazwałam „Warsztatami ze Świata”. Pretekstem do tych zajęć było wprowadzenie nastoletnich dziewczyn w podstawy ekonomii, ale też przemyślałam dużo rozmów o mass mediach, a szczególnie o wizerunku kobiecego ciała w mediach. Rozmawialiśmy o tym, jak one postrzegają swoje ciało i co o tym decyduje. Wtedy zaczęłam studiować literaturę dotyczącą rozwoju tożsamości płciowej, podręczniki o wychowaniu przez media, a także dokumenty Jean Kilbourne dotyczące wizerunku kobiecego ciała w reklamach. I czułam, że jestem na swoim miejscu.

Jeszcze w zielone gramy, jeszcze nie umieramy  
Jeszcze któregoś rana odbijemy się od ściany  
Jeszcze wiosenne deszcze obudzą ruń zieloną  
Jeszcze zimowe śmiecie na ogniskach wiosny spłoną  
Jeszcze w zielone gramy, jeszcze wzrok nam się pali  
Jeszcze się nam pokłonią ci, co palcem wygrażali  
My możemy być w kłopotcie, ale na rozpaczy dnie  
Jeszcze nie, długo nie...

### Praca spełnieniem marzeń wielu innych

Już w trakcie studiów licencjackich doszłam do wniosku, że nie chcę studiować dziennie. Wynikało to po prostu z tego, że kierunek, w którym byłam wykształcona, kompletnie mnie nie interesował. Nie czułam więc potrzeby wgłębiania się w jego treści. Dodatkowo zawsze chciałam szybko się usamodzielić.

Ukończywszy taki świetny kierunek, było tak, jak obiecywali wszyscy dobrzy podopieczni. To znaczy, tam, gdzie złożyłam CV do pracy, tam byłam zapraszana na rozmowy. Oczywiście jedynym możliwym miejscem zatrudnienia były wielkie korporacje, które potrzebowały osób ze znajomością podstaw ekonomii i biegłej znajomości przynajmniej dwóch języków obcych. Tym sposobem przeprowadziłam się do Krakowa i zostałam młodszym analitykiem do spraw należności obsługującym klientów wszystkich krajów francuskojęzycznych.

Pracodawca wymagał ode mnie uzyskania stopnia magistra w przeciągu pięciu lat od momentu zatrudnienia. Rozpoczęłam więc niestacjonarne studia na Uniwersytecie Ekonomicznym w Krakowie na kierunku marketing. Uważam, że był to dobry i przemyślany wybór, który wpisywał się w moje zainteresowania dotyczące wizerunku kobiet w reklamach, i już idąc na te studia, wiedziałam, że moja praca magisterska będzie właśnie o tym. Cel podjęcia studiów był jednak kompletnie niewłaściwy, wynikający z reguł gry rynkowej wypierających tradycyjne wartości uniwersyteckie. We wprowadzeniu do książki *Univeristas czy fabryki dyplomów* Maria Czerepaniak-Walczak (2013b, s. 11) podkreśliła, że kierunki i specjalności kształcenia wymuszane są teraz przez rynek pracy, a „wymagania kwalifikacyjne formułowane przez poszczególne resorty i korporacje zawodowe są wyznacznikami planów i programów studiów”. Doświadczyłam tego urynkowienia uniwersytetu empirycznie. Natomiast na tamtym etapie jeszcze nie wiedziałam, że może być inaczej i jakie powinno być znaczenie uniwersytetu i studiowania w kulturze.

Wszystkie powyższe doświadczenia sprawiły, że znalazłam się w miejscu, z którego nie czerpałam żadnej satysfakcji z życia. Miałam pracę, której większość moich kolegów ze studiów licencjackich mi zazdrościła, bo pieniądze oferowane na samym początku były dobre, funkcja, którą pełniłam w firmie, brzmiała dumnie, a korporacja dawała poczucie uczestnictwa w wielkim ważnym świecie. Jednak już w drodze do pracy płakałam, że muszę tam jechać, i myślałam, że to tak wygląda dorosłe życie i że jeszcze muszę wytrzymać 35 lat. Intuicja podpowiadała mi, że tak nie musi być. Chciałam pracować z dziećmi, tęskniłam za warsztatami w domu dziecka. Chciałam być kreatywna, wymyślać coś, tworzyć, poznawać, rozwijać się, a nie tylko bezmyślnie stukać w klawiaturę i wykonywać telefony, używając wciąż tych samych zwrotów. Byłam nieszczęśliwa. Gdzie teraz byli ci wszyscy, którzy tak chętnie doradzali mi przed maturą w wyborze studiów? Stałam przed wyborem: albo mogłam dalej być częścią kultury upozorowania<sup>2</sup>, albo zacząć się zastanawiać, czym jest dla mnie sukces zawodowy, praca, ale także studiowanie.

Jeszcze w zielone gramy, jeszcze nie umieramy  
Jeszcze się spełnią nasze piękne sny, marzenia, plany  
Tylko nie ulegajmy sennym niepokojom  
Bądźmy jak stare wróble, które stracha się nie boją...

2 O kulturze upozorowania zob. Melosik, 1995, s. 151–194.

## Uniwersytet Szczeciński

Kiedy w życiu jest naprawdę źle, człowiek instynktownie chce się znaleźć w miejscu, w którym czuje się bezpiecznie. W moim przypadku był to dom rodzinny. Zatruwając życie pracą i studia zostawiłam 700 kilometrów za sobą. Wróciłam, pełna poczucia klęski, do małego miasta, w którym nie było już nikogo z moich znajomych. Wszyscy byli zajęci robieniem karier w wielkich korporacjach. Było mi wstyd. Nie wiedziałam, co mówić, kiedy ludzie, którzy wcześniej dawali mi dobre rady, teraz nie rozumieli, dlaczego zrezygnowałam z tego, co potocznie nazywane jest przez ludzi sukcesem.

Nie wróciłam jednak bez planu. Wiedziałam już, co chcę robić w życiu i co oznacza praca niedająca satysfakcji. Najpierw zaczęłam pedagogiczne studia podyplomowe z metodyki nauczania podstaw przedsiębiorczości. Musiałam też odbyć praktyki w liceum i już na praktykach wiedziałam, że jestem we właściwym miejscu. Mogłam coś wymyślać, zaplanować, pracować z żywym człowiekiem, a nie z ekranem komputera.

Po studiach podyplomowych zdecydowałam się na studia magisterskie z pedagogiki wczesnoszkolnej i przedszkolnej. Dostałam też pracę w prywatnym przedszkolu i czułam, że wracając, podjęłam słuszną decyzję. Nagle to, co mówili wszyscy dookoła, przestało mieć znaczenie. Najważniejsze stało się dla mnie to, aby mieć satysfakcję z życia na swój własny sposób.

Jeszcze w zielone gramy, choć skroń niejedna siwa  
Jeszcze sól będzie mądra, a oliwa sprawiedliwa  
Różne drogi nas prowadzą, lecz ta, która w przepaść rwie  
Jeszcze nie, długo nie...

W trakcie studiów magisterskich potwierdziło się, że warunkiem studiowania jest fakt autentycznego zainteresowania przedmiotem. Chłonełam wiedzę. Nie musiałam się zmuszać, aby usiąść do książek, ja po prostu chciałam to robić, byłam ciekawa, żądną wiedzy. Do samego procesu kształcenia na Uniwersytecie Szczecińskim, w porównaniu do dwóch poprzednich uniwersytetów, mam kilka zastrzeżeń, jeśli jednak przyjmiemy, że studiowanie powinno być czynem samodzielnym, to z pewnością w trakcie tych studiów studiowałam najprawdziej, najrzetelniej, z największym zapałem i zaangażowaniem. Studiowanie było dla mnie wtedy „samokierowanym uczeniem się”, którego elementami są „autonomia jednostki, samostereowność, świadomość własnych zalet i słabości, nastawienie na cel – świadomość celu, motywacja do nauki, umiejętność (i chęć) wykorzystywania materiałów do nauki” (Ciechanowska, 2009, s. 206). Na tym etapie już wiedziałam, że najważniejsza jest moja niezależność – po przebytych doświadczeniach z pewnością miałam świadomość własnych dobrych i złych stron, a moim celem było stawanie się coraz bardziej kompetentną w swojej pracy.

Oprócz powrotu tej wrodzonej ciekawości na studiach doświadczyłam czegoś jeszcze. Moja praca magisterska dotyczyła wzorów kobiecości prezentowanych przez miesięcznik dla dziewczynek w wieku przedszkolnym. Wykonałam dużo żmudnej, czasochłonnej

pracy, aby dokonać analizy i opisu czasopisma „Księżniczki”, a na podstawie tych badań powstała moja praca magisterska. Dzięki mojemu promotorowi dowiedziałam się wtedy, że nie tylko lubię to, co robię, lecz także, że jestem w tym dobra. Dodatkowo za namową jednego z doktorów napisałam autoetnograficzny rozdział do książki o *Studiowaniu jako strefie (Nie)domówień* i również się okazało, że jest on całkiem dobry – za sukces uznałam to, że w ogóle się w książce znajdzie. Odnalazłam się więc w prawdziwym studiowaniu jako gruntownym badaniu czegoś, także własnego doświadczenia. Oprócz moich zainteresowań pedagogiką kultury popularnej wciągnęłam się w dydaktykę szkoły wyższej i zaczęłam brać aktywny udział w Kole Naukowym Dydaktyki Szkoły Wyższej. Chyba nie ma większej radości niż robienie czegoś, co daje satysfakcję i jeszcze jest doceniane przez autorytety. Ta sytuacja jest też dowodem na to, że pójście na jakiekolwiek studia tylko dlatego, że taki jest teraz rynek pracy, albo przekonanie, że będzie się po nich miało pracę, zabija jakiegokolwiek ducha studiowania i uniwersytetu. Sprawia, że staje się on korporacją, której główną misją jest taka oferta pracy, która przyciągnie jak najwięcej potencjalnych kandydatów, z których będzie można wybrać tego najlepszego. Zresztą oferta dla kandydatów pewnych „wyższych” szkół, z której można się dowiedzieć, że osoba pracująca zawodowo nie musi przychodzić na niektóre zajęcia, bo ma doświadczenie zawodowe, tylko podsyca takie pojmowanie uniwersytetu<sup>3</sup>. Myślę teraz o tych setkach tysięcy studentów, którzy studiują na polskich uczelniach, nie wiedząc, po co to robią, i męczą się tak jak ja kilka lat temu. Tylko studiowanie tego, co nas rzeczywiście interesuje, można nazwać studiowaniem.

### Powrót do korporacji

Sam przedmiot studiowania jako ten właściwy nie wystarczy, kiedy ma się wrażenie, że współczesny uniwersytet to wielka międzynarodowa korporacja, od której przecież tak bardzo chciałam uciec. Poniżej przedstawiam kilka argumentów obrazujących, dlaczego na uczelni czuję się czasami jak w firmie, w której pracowałam.

Dzisiejszy uniwersytet nie przypomina już fabryki, lecz staje się międzynarodową korporacją, w której każdy absolwent (w przypadku uczelni – absolwent liceum, a w przypadku korporacji – absolwent uczelni) chciałby się znaleźć. Kiedy się już jednak w tej zmitologizowanej instytucji znajdzie, spotyka go głównie rozczarowanie – początkowo krótka próba zwyciężenia złego systemu, a później bierne poddanie się zastanemu porządkowi, przerywane krótkimi niesłyszalnymi przez nikogo okrzykami „veto!”.

Ostatnio wśród osób z branży korporacyjnej popularne stało się określenie „Mordor na Domaniewskiej”, które jest bezpośrednio związane z pracą w tego typu przedsiębiorstwach. Przy ulicy Domaniewskiej w Warszawie dominuje zabudowa drapaczy chmur,

3 Zob. <http://www.wsb.pl/wroclaw/efekty-uczenia> (dostęp: 24.01.2019).



w których mieszczą się największe zagraniczne korporacje. „Mordor” rządzi się swoimi prawami, a ludzie tam pracujący wpisują się w definicję dystynkcji w ujęciu Pierre’a Bourdieu: różnicy w stylu życia, guście czy uczestnictwie w kulturze (Kanasiecka-Falbierska, 2013, s. 301). Dystynkcja ta dotyczy również studentów.

Wśród stu najbardziej pożądanых przez absolwentów pracodawców największą część stanowią korporacje<sup>4</sup>. Świadczy to o tym, że mimo wielu głosów, iż korporacje wykorzystują swoich pracowników, nie pozostawiając im przestrzeni na życie prywatne, większość ludzi wręcz marzy, aby tam pracować. Myślę, że kierują się one prestiżem społecznym i postrzeganiem takiej firmy przez osoby z zewnątrz. Pewne uczelnie, szczególnie te prywatne, również nie cieszą się zbyt dobrymi opiniami, a wciąż pożądane są przez dużą liczbę maturzystów. Mam tutaj na myśli prywatne szkoły „wyższe”, które kandydatom na studia oferują zdobycie dyplomu bez jakiegokolwiek wysiłku, nawet konieczności przychodzenia na uczelnię czy samodzielnego napisania pracy licencjackiej/inżynierskiej. Z kolei na studia, które powszechnie są uważane za dobre, wybierają się także osoby, które się do tego nie nadają.

Tak więc te dwa miejsca, korporacja i uczelnia, są dla mnie taką symboliczną mekką, do której dąży większość społeczeństwa i w której musi się choć raz w życiu znaleźć. Ponadto na dzisiejszym uniwersytecie studenci traktowani są jak „zasoby ludzkie”, którymi należy odpowiednio zarządzać. Współczesne teorie zarządzania zasobami ludzkimi dostosowują się do zatrudnianych w korporacjach nowych generacji, a szczególnie wchodzącego obecnie na rynek pracy pokolenia „Z”. Na uniwersytecie dba się o odpowiedni dobór studentów i pracowników, by służyli oni celom uczelni, takim jak utrzymanie się w rankingach, promowanie ośrodka w kraju i za granicą, a po dłuższym zastanowieniu okaże się, że używane są do tego metody opisywane przez literaturę z zakresu zarządzania. Aby zarządzanie zasobami ludzkimi spełniało swoje cele, należy zadbać o kilka zasadniczych kwestii, takich jak: odpowiedni dobór pracowników, optymalne wykorzystanie ich możliwości i umiejętności, pobudzenie zaangażowania do pracy, kontrolowanie ich działalności, stworzenie zasad polityki personalno-kadrowej, integracja polityki personalnej ze strategią i planami przedsiębiorstwa, tworzenie warunków pracy umożliwiających rozwój organizacji poprzez innowacje i pracę zespołową, podtrzymanie zdolności przedsiębiorstwa do adaptacji do nowych warunków (Harasim, 2013, s. 9).

Moim zdaniem określenie członków uniwersytetu, czyli pracowników i studentów, zbliżone jest bardziej do pracowników korporacji niż robotników fizycznych fabryki, ponieważ muszą to być jednostki odpowiednio „wykwalifikowane”. Żeby dołączyć do szacownego grona studentów, trzeba osiągnąć odpowiednią liczbę punktów w rekrutacji, które wynikają z procentowego rezultatu matury. Żeby spełnić marzenie o pracy w korporacji, trzeba mieć wykształcenie wyższe i znać co najmniej dwa języki. I w jednym, i w drugim przypadku mówi się o tym, że proces rekrutacyjny do największych firm i najlepszych uni-

4 Zob. Zielewski, 2018.

wersytetów jest trudny, co wymaga sporego wysiłku. Już na tym etapie od kandydatów wymaga się umiejętności rywalizacji i ciągłego udowadniania, że jest się lepszym od innych. Pracownicy korporacji są często trywialnie nazywani „korposzczurami” biorącymi udział w wyścigu składającym się z takich konkurencji jak: liczba nadgodzin, dyspozycyjność, liczba spotkań teamów, jakość śledzików i wigilii pracowniczych czy jak najmniejsza liczba zwolnień lekarskich i urlopów oraz całkowite oddanie się firmie. Przyjaźnie w korporacji są możliwe tylko dopóki, dopóty ktoś ze współpracowników nie otrzyma lepszych warunków bądź podwyżki. Na dzisiejszym uniwersytecie doktoranci również rywalizują między sobą o liczbę punktów przeliczanych później na stypendium, często zachowując się tak, jakby brali udział w tym samym wyścigu, co pracownicy korporacji. Pierwiastek rywalizacji nie dotyczy jednak tylko doktorantów. Pracownicy naukowcy także poddawani są ocenom, czyli ewaluacji, to znaczy, że ciągle muszą przed kimś udowadniać, że są najlepsi, lepsi od innych. Marek Kwiek (2015, s. 293) wskazał, że „sednem konkurencji akademickiej są mierzalne osiągnięcia badawcze, których oczekuje się od naukowców w konkretnych przedziałach czasu oraz na określonych etapach kariery akademickiej”. Pytanie tylko, czy badamy coś, bo chcemy być lepszym od innych, wypaść lepiej w ewaluacji, czy przykładamy wagę do jakości naszych badań.

Korporacja definiowana jest jako cech rzemieślników, specjalistów, a według słownika PWN to zrzeszenie osób mające na celu realizację określonych zadań (Słownik PWN, 2018a). Stawiam tezę, iż dzisiejszy uniwersytet nie jest niczym innym jak zrzeszeniem specjalistów<sup>5</sup>, którzy muszą się wywiązywać z przydzielonych im zadań, z których później są rozliczani. Do obowiązków studentów należy przychodzenie na zajęcia, zaliczanie egzaminów, semestrów, pisanie prac licencjackich czy magisterskich, dotrzymywanie terminów. Z kolei wśród obowiązków nauczycieli akademickich są np. prowadzenie wykładów, kształcenie studentów, uczestnictwo w zebraniach instytutu czy katedry, ocenianie i bycie poddanym ocenie. Uważam, że nagromadzenie obowiązków i konieczność wypełniania procedur zabija we wszystkich uczestnikach uniwersytetu kreatywność. Jej brak ujawnia się również w sposobie prowadzenia ćwiczeń, np. z dydaktyki na studiach pedagogicznych, podczas których krytykuje się każdy zaproponowany przez studenta sposób nauczania. Wykładowcy uznają swój „wypracowany przez lata” model za jedyny słuszny. W przedsiębiorstwie nowy pracownik uczy się stylu pracy od innych pracowników i nie ma on możliwości wdrażania swoich własnych pomysłów, a jakiegokolwiek formy „innowacyjności” są krytykowane.

Przedsiębiorstwo uwikłane jest w gąszczu procedur, na co wskazują słowa autora książki *Planeta Korporacja*, który w drapaczach chmur spędził 17 lat: „Kiedy zaczynałem (...), zagubiony błądziłem jak dziecko we mgle w rzeczywistości uregulowanej tysiącami procedur, przepisów, zarządzeń, które krępowaly mnie i uciskały przy najmniejszym nawet ruchu” (Balcerzak, 2013, s. 4). Uważam, że te słowa brzmiałyby równie wiarygodnie w ustach

5 Por. Szwabowski, 2014, s. 59.

niejednego pracownika akademickiego. W jednym z badań Marka Kwieka pracowników uczelni pytano o to, w jakim stopniu zgadzają się z tym, z czym mają do czynienia w swoich uczelniach w ramach zarządzania uniwersytetem. Siedemdziesiąt procent respondentów odpowiedziało, że mają do czynienia z „nadmiernie długimi i zawiłymi procedurami administracyjnymi”. Druga w kolejności odpowiedź, która uzyskała 57,7%, brzmiała: „silny nacisk na (mieralne) efekty pracy akademickiej” (Kwiek, 2015, s. 272). Na współczesnych uczelniach ważniejsze od „wytwarzania dóbr” w fabrycznym ujęciu uniwersytetu stały się procedury, dokumenty i punktacja, co również powoduje zamianę rzemieślnika w urzędnika. Uniwersytet powinien jednak przejawiać się w tym, o czym pisał Sergiusz Hessen (1997, s. 382), a mianowicie, że „żadne programy i żadne przepisy nie zdołają przewidzieć, dokąd właśnie doprowadzi uczzonego wewnętrzną logiką jego pracy naukowej”. Ciągła pogon za punktami i koniecznością spełniania norm powoduje, że nasza „wewnętrzna logika pracy naukowej” nie ma szans na rozwój. Nie mamy czasu na błędy, zastanawianie się, podawanie w wątpliwość. Musimy (piszę w imieniu doktorantów) jak najszybciej przedstawić gotowy produkt, który zapewni nam odpowiednią ocenę czy liczbę punktów.

Zarówno budynek uniwersytetu, jak i korporacji są postrzegane przez osoby z zewnątrz jako miejsca niedostępne dla zwykłych ludzi. Mogą do nich wejść tylko wtajemniczeni – ci, którzy mają plaketkę pracowniczą albo legitymację. Jest to jakby miejsce zakazane dla osób z zewnątrz, owiane tajemnicą, z której o różnych godzinach wychodzą ludzie w garniturach, często z teczkami, dokumentami, i idą w sobie tylko znanym kierunku. Ponadto między tymi dwoma budynkami często nie ma różnic: cechują się surowością, wielością przeszkleń, nowoczesnością, zamkniętą drogą wewnętrzną. Nierzadko odgrrodzone są od reszty świata szlabanami, tak aby nikt z zewnątrz nie miał do nich dostępu.

Pracownicy uczelni, profesorowie, doktoranci są często społecznie wyróżniani: w oczach innych ludzi uchodzą za osoby nadprzeciętnie inteligentne, obdarzone wysoką kulturą osobistą, nieraz traktowani są jak arystokraci. Osoba, która w trakcie studiów dostała się na (często bezpłatny) staż w korporacji, uważana jest za taką, która spełnia marzenia wszystkich pozostałych absolwentów. Jeżeli pracujesz w korpo czy dostałeś się na studia doktoranckie, jesteś kimś. I w jednym, i w drugim przypadku działa to na niekorzyść samych zainteresowanych, ponieważ zbyt mocno przykładają do tego wagę i często obrastają w piórka, co uniemożliwia efektywną komunikację z innymi uczestnikami ich rzeczywistości, a także wpływa na relację profesor – student.

Zarówno uczelnia, jak i korporacja charakteryzują się brakiem autonomii pojedynczych osób. W przypadku korporacji jest to brak niezależności pracownika, która przejawia się w ustaleniu jedynych akceptowalnych zasad zachowania i ubioru w pracy. Natomiast aby wskazać, w jaki sposób uczelnia pozbawia studentów wolności, przytoczę przykład ze studiów pedagogicznych, kiedy to wykładowca dyktuje do zanotowania zasady i reguły postępowania dobrego nauczyciela, zamiast zmusić studentów do zastanowienia się i wska-

zania przez nich samych pożądanym sposobów postępowania<sup>6</sup>. Uważam, że studenci studiów magisterskich, wśród których najmłodszy to dwudziestotrzylatkowie, poradziliby sobie z tym zadaniem bez żadnych problemów. Przecież wykładowca wymagałby od nich jedynie odwołania się do własnych doświadczeń ze szkoły i skłoniłby do refleksji nad ich postępowaniem jako nauczyciela. Sądzę, że zapamiętalibyśmy z tego wykładu dużo więcej, bo dzisiaj pamiętam tylko, że taka definicja została nam podyktowana, ale nie mogę sobie przypomnieć jej treści. Być może celem wykładowcy było to, abyśmy znali dokładnie te zasady, które on sam wyznaje, co jeszcze bardziej odbiera studentom swobodę myślenia. Innym miejscem, w którym studentom odbierana jest autonomia, jest narzucająca, autorytarna postawa wykładowcy, promotora czy opiekuna naukowego. Choć mimo wszystko jednak w dużej mierze wciąż „profesorowie wydają się posiadać moc, która pozwala im inspirować, angażować oraz prowadzić młodszych naukowców przez wczesne etapy kariery akademickiej” (Kwiek, 2015, s. 299).

Zarówno na uniwersytecie, jak i w korpo obowiązuje swoista hierarchia osobowa. Na uniwersytecie odbywa się ona pomiędzy uczestnikami studiowania, gdzie wymagane jest odpowiednie zwracanie się do osób z określonymi tytułami zawodowymi. Myślę, że tworzy to pewnego rodzaju dystans i wywołuje poczucie niepewności już przed samym zwróceniem się do pracownika naukowego. Byłam świadkiem sytuacji podczas wykładu, kiedy student zapytał profesor: „czy może pani powtórzyć?”, w odpowiedzi zaś usłyszeliśmy, że „pani to jest w dziekanacie!”. Na studiach w języku angielskim, jako że studentów polskich było tyłu samo, co zagranicznych, do wykładowców zwracaliśmy się, używając tytułu wraz z imieniem, np. per profesor Jan. Oddawało to należyty szacunek profesorowi, ale dodanie imienia sprawiało, że stawał się on bardziej rzeczywisty, ludzki, bliższy. W korporacji natomiast wyraźna hierarchia ukryta jest pod płaszczkiem koleżeństwa, ponieważ wszyscy zwracają się do siebie „per ty”, lecz tak naprawdę czasami *team leader*, który na co dzień jest dla ciebie po prostu Olą czy Michałem, może zwrócić ci uwagę, że poprzedniego dnia nie posprzątałeś biurka.

Innym przykładem, w którym współczesna polska uczelnia spotyka się z zagraniczną korporacją, jest uprzedmiotowienie. W biurze ma się poczucie, że jest się jednym z dwóch tysięcy pracowników, którego w każdej chwili można zastąpić innym, a w procesie edukacji ma się poczucie bycia „masą” osób z jednego kierunku, przejawiające się w zwrotach: „Wy jesteście PWiP czy POiR?”. Zarówno na uczelni, jak i w pracy mamy nadane numery, którymi posługujemy się na co dzień. Na przykład w dziekanacie nie jest się Janem Kowalskim, tylko numerem 1234, co moim zdaniem powoduje, że czujemy się bezosobowo. W korporacji natomiast, przykładając swoją kartę pracowniczą, kiedy wchodzi się do pracy albo idzie się na przerwę i z niej wraca, ciągle mamy poczucie bycia pod obserwacją.

---

6 Sergiusz Hessen (1997, s. 394–395) w swojej teorii uniwersytetu napisał: „zmusić do wyznawania swoich poglądów naukowych to rzecz tak samo niemożliwa, jak niemożliwe jest za pomocą przymusu wciągnięcie słuchacza do prądu twórczości naukowej”.

Wspominałam wcześniej o przykładzie zarządzania zasobami ludzkimi. Sam fakt używania tego określenia w literaturze z zakresu zarządzania powoduje, że nie widzimy w pracowniku człowieka, a jedynie „zasób ludzki” służący celom firmy.

Zarówno pracownicy korpo, jak i studenci posługują się charakterystycznym dla siebie językiem, pewnego rodzaju slangiem. W firmie nazywane jest to korpomową, która polega na spolszczeniu angielskich słów, np. „muszę mieć *approval* asapem” (asap – *as soon as possible*), to znaczy „muszę jak najszybciej zdobyć zgodę”, czy też „zbliża się *deadline*, a nie mam feedbacka”, czyli „zbliża się termin ukończenia projektu, a nie mam informacji zwrotnej”. Korpomowa jest interkorporacyjna, niezależna od konkretnej firmy czy miasta. Język studencki jest natomiast charakterystyczny dla danej uczelni, kierunku, roku studiów, a nawet regionu Polski. Przykładowe słowa ze slangu studenckiego to: kolokwium – „koło”, zaliczenie – „zalka”, ćwiczenia – „ćwieki”, laboratoria – „laborki”, stypendium – „stypa”, sesja poprawkowa – „kampania wrześniowa”, politechnika – „polibuda”.

Jaka jest jednak prawda o uniwersytecie? Czy rzeczywiście zamienia się on w korporację pełną urzędników, którzy z całą pewnością nie tworzą wspólnoty, lecz podkreślają swoją pożądaną dziś indywidualność? Nie znajduję dziś na te pytania odpowiedzi, ale może nie powinnam ich poszukiwać, bo

(...) dziś na uniwersytecie prawda stanowi głównie ozdobnik oficjalnych przemówień wygłaszanych z okazji inauguracji każdego kolejnego roku akademickiego. Na poważanie prawie nikt prawdy od uniwersytetu nie oczekuje ani jej w nim nie szuka. Władza chce wysokiego współczynnika scholaryzacji – przy minimalnych nakładach na badania naukowe i kształcenie, student – dyplomu, który zdobywa się bez trudu i wysiłku, a nauczyciel akademicki – wysokich zarobków umożliwiających szeroki udział w rynku konsumenckim (Murawska, 2007, s. 320).

Jeszcze w zielone gramy, choć życie nam doskwiera  
Gramy w nim różne role naturszczycy bez suflera  
W najróżniejszych sztukach gramy, lecz w tej, co się skończy źle  
Jeszcze nie, długo nie!

## Podsumowanie

Takie ukorporacyjnienie uniwersytetu jest szczególnie uciążliwe w trakcie studiów doktorskich, kiedy to prawdziwe studiowanie, czyli podyktowane czystym zainteresowaniem przedmiotem, powinno rozwinąć się najpełniej. Walka o punkty, a nie o jakość materiału badawczego, o ilość, a nie o poziom artykułów, uniemożliwia samorozwój, ale także wkład w dorobek naukowy uczelni. Brak stypendiów przy jednoczesnej konieczności kupowania książek czy artykułów, ksera, dojazdów na uczelnię powoduje, że nasze dylematy nie dotyczą prac doktorskich, a raczej tego, jak związać koniec z końcem. W trakcie uroczystości zakończenia studiów magisterskich profesor Murawska wygłosiła przemówienie,

które było bardzo inspirujące, wzruszające i którego słowa „sięgajcie gwiazd”, kierowane do nas absolwentów, pamiętam do dziś. Tylko czy my rzeczywiście w trakcie doktoratu możemy sięgnąć gwiazd? Obawiam się, że studiowanie na studiach doktoranckich oznacza znów zaciskanie zębów i przelykanie łez goryczy. Jak w pracy, której wszyscy dookoła ci zazdroszczą, tylko ty sam chcesz stamtąd uciec. Z tą różnicą, że praca jest środkiem do życia, a doktorat stał się kosztownym hobby.

Jeszcze w zielone gramy, chęć życia nam nie zbrzydła  
 Jeszcze na strychu każdy klei połamane skrzydła  
 I myśli sobie Ikar co nie raz już w dół runął  
 Jakby powiało zdrowo, to bym jeszcze raz pofrunął...

## Bibliografia

- Balcerzak, M. (2013). *Planeta Korporacja. Jak przetrwać, zrobić karierę, zostać prezesem*. Warszawa: The Facto.
- Ciechanowska, D. (2009). Samokierowane uczenie się (Self-Directed Learning) jako wartość kształcenia akademickiego. W: D. Ciechanowska (red.), *Studiowanie dla społeczeństwa wiedzy* (s. 193–208). Toruń: Wydawnictwo Edukacyjne Akapit.
- Czerepaniak-Walczak, M. (2013a). Autonomia w kolorze sepii w inkrustowanej ramie KRK. O procedurach i treściach zmiany w edukacji akademickiej. W: M. Czerepaniak-Walczak (red.), *Fabryki dyplomów czy universitas? O „nadwiślańskiej” wersji przemian w edukacji akademickiej* (s. 29–56). Kraków: Oficyna Wydawnicza „Impuls”.
- Czerepaniak-Walczak, M. (2013b). Wprowadzenie. W: M. Czerepaniak-Walczak (red.), *Fabryki dyplomów czy universitas? O „nadwiślańskiej” wersji przemian w edukacji akademickiej* (s. 10–26). Kraków: Oficyna Wydawnicza „Impuls”.
- Dziaczkowska, L. (2009). Mądrość i dyplom – oblicza studiowania. W: D. Ciechanowska. (red.), *Studiowanie dla społeczeństwa wiedzy* (s. 184–192). Toruń: Wydawnictwo Edukacyjne Akapit.
- Harasim, W. (2013). *Zarządzanie zasobami ludzkimi i kapitałem*. W: W. Harasim (red.), *Człowiek i organizacja XXI wieku* (s. 8–43). Warszawa: Wyższa Szkoła Promocji.
- Hessen, S. (1997). *Dzieła wybrane*. T. 1: *Podstawy pedagogiki*. Warszawa: Wydawnictwo „Żak”.
- Kanasiecka-Falbierska, K. (2013). Młodzież akademicka. Aktualność Bourdieu’owskiej dystynkcji. W: M. Czerepaniak-Walczak (red.), *Fabryki dyplomów czy universitas? O „nadwiślańskiej” wersji przemian w edukacji akademickiej* (s. 300–311). Kraków: Oficyna Wydawnicza „Impuls”.
- Kubinowski, D. (2013). *Idiomatyczność, synergia, emergencja. Rozwój badań jakościowych w pedagogice polskiej na przełomie XX i XXI wieku*. Lublin: Wydawnictwo Makmed.
- Kwiek, M. (2015). *Uniwersytet w dobie przemian*. Warszawa: Wydawnictwo Naukowe PWN.
- Melosik, Z. (1995). *Postmodernistyczne kontrowersje wokół edukacji*. Toruń–Poznań: „Edytor”.
- Murawska, A. (2007). Uniwersytet jako przestrzeń kultury – płonne nadzieje? Niespełnione obietnice? W: J. Rutkowiak, D. Kubinowski, M. Nowak (red.), *Edukacja, moralność, sfera publiczna. Materiały z VI Ogólnopolskiego Zjazdu Pedagogicznego PTP* (s. 316–327). Lublin: Oficyna Wydawnicza „Verba”.
- Słownik PWN (2018a). Hasło: korporacja. Pobrane z: <https://sjp.pwn.pl/sjp/korporacja;2564728.html> (30.10.2018).

- Słownik PWN (2018b). Hasło: studiować. Pobrane z: <https://sjp.pwn.pl/sjp/;2576386> (30.10.2018).
- Szwabowski, O. (2014). *Uniwersytet – fabryka – maszyna. Uniwersytet w perspektywie radykalnej*. Warszawa: Instytut Wydawniczy Książka i Prasa.
- Tokarski, J. (red.), (1989). *Słownik wyrazów obcych PWN*. Warszawa: Wydawnictwo Naukowe PWN.
- Zielewski, P. (2018). *Oto praca jak marzenie. Ranking najlepszych pracodawców w Polsce*. Pobrane z: <https://www.forbes.pl/kariera/najlepsi-pracodawcy-w-polsce-ranking-forbesa-za-2017-rok/15rp9vo> (12.02.2018).

### Streszczenie

Czy uniwersytet jest wciąż miejscem, w którym można jeszcze prawdziwie studiować? Stał się on raczej polem walki wyścigu szczurów, ograniczającym kreatywność i autonomię, zarówno pracowników, jak i studentów. Chęć prowadzenia rzetelnych badań, związanych z przedmiotem zainteresowań badacza, wypierana jest przez procedury, konieczność zdobycia jak największej liczby punktów i potrzebę sprośnięcia kryteriom oceny.

**Słowa kluczowe:** studia wyższe, studiowanie, korporacja, autoetnografia

## CORPORATIZATION OF THE UNIVERSITY – AUTOETHNOGRAPHIC APPROACH

### Summary

Is university still a place where one can truly study? It became rather a battlefield for a rat race which constrains creativity and autonomy of students as well as university workers. Willingness to do the reliable research, connected with the field of interest of the researcher is displaced by procedures, the necessity to gain as many points as possible and the need to meet evaluation criteria's.

**Keywords:** higher education, studying, corporation, autoethnography